

Rozważania w drodze przez maszyn Kilimandżaro

ŻYCIE WĘDRÓWKĄ JEST

Jest czwartek rano, 10 listopada 2005 r. Z Warszawy do Amsterdamu lecimy w komplecie: pięciu mężczyzn – Leszek, Jurek, Marcin, Eryk i ja oraz tylko jedna kobieta – Janka. Na tle moich kilkumiesięcznych przygotowań do wyprawy warto wspomnieć, że Eryk – pracujący w Polsce Duńczyk, zdecydował się uczestniczyć w wyprawie pięć dni wcześniej. Nasza grupa jest dość zróżnicowana pod wieloma względami, np. wieku czy doświadczenia w wysokogórskim trekkingu, ale wszystkich łączy jeden cel: chcemy wejść na Uhuru Peak w wulkanicznym masywie Kilimandżaro.

Ponad dwugodzinny lot do Holandii wykorzystujemy na „oprowadzenie sytuacji”. Cieszymy się, że w ogóle lecimy, ponieważ dzień wcześniej poranny lot KLM do Amsterdamu został odwołany z powodu mgły, a przecież pierwotnie mieliśmy lecieć właśnie 9 listopada. O przesunięciu terminu wylotu zdecydował Leszek, który zaplanował wejście na szczyt Kibo podczas pełni Księżyca. Dodatkowo dzień przed wyjazdem złapałem ostrą infekcję gardła i całkiem straciłem głos. Próbuję bagatelizować ten problem. Ale, prawdę mówiąc, nie mam innego wyjścia, jak tylko zaopatrzyć podręczną apteczkę w dodatkowe medykamenty.

W myślach porządkujemy jeszcze sprawy pozostawione w Polsce, ale już przestawiamy się na „afrykańskie klimaty”. Na lotnisku Schiphol, wśród oczekujących na samolot do Afryki, po stroju rozpoznaję pasażerów potencjalnie zainteresowanych Kilimandżaro, ale jest też dość liczna grupa podróżnych przygotowanych na safari. W końcu lecimy bezpośrednio do Tanzanii. Już w samolocie z Amsterdamu na *International Kilimanjaro Airport* (IKA) pojawia się temat naszych wyobrażeń o Afryce. Są one zawarte głównie w obrazach z kart literatury: Henryka Sienkiewicza „*W pustyni i w puszczy*”¹, Ernesta Hemingwaya „*Śniegi Kilimandżaro*”² i oczywiście Karen Blixen „*Pożegnanie z Afryką*”³.

Lot samolotem Boeing MD11 trwa ponad osiem godzin. Lądujemy na IKA ok. 21³⁰ czasu miejscowego, który różni się od polskiego o dwie godzi-

ny. Sprawy wizowe i paszportowe zostają załatwione dość sprawnie. Zgłasza się kierownik miejscowej agencji turystycznej „*Victoria*”, który wiezie nas ok. 45 min. do hotelu Arusha Centre Tourist Inn. Jedziemy „pod prąd”, ponieważ w Tanzanii obowiązuje lewostronny ruch drogowy. Po małym rozgardiaszu, związanym z zakwaterowaniem, około północy kładziemy się spać. I jest O.K., bo to był długi dzień.

Nazajutrz, już około piątej (w Polsce jest dopiero 3 w nocy) budzi mnie donośny śpiew muezina z minaretu pobliskiego meczetu i wschodzi słońce. W tej sytuacji wstaję dość wcześnie. Po śniadaniu przepakowujemy bagaże: część pozostawiamy w hotelu (na drugą połowę wyprawy - „na Zanzibar”), część zabieramy jako osobisty

Andrzej Kulig

Mamie, która mając 70 lat podjęła trud pieszej pielgrzymki z Tarnowa do Częstochowy, dedykuję ten tekst.



Grupa przed wejściem do Parku Kilimandżaro.

bagaż, a część przekazujemy do niesienia tragarzom. Dodać należy, że większość ekwipunku wyprawy będzie pozostawać, w sensie dosłownym, właśnie na głowie tragarzy zabezpieczających obsługę wyprawy. Z uwagi na podobne pojemności dwóch moich plecaków



Janka, autor i Marcin gotowi do wyruszenia na szlak Marangu.

oraz brak doświadczenia (w domu często słyszałem: „*lepiej dźwigać niż ści-gać*”) rozkładu bagażu na wędrowkę nie dokonałem zbyt dobrze, o czym mogłem się już niebawem przekonać. Na razie ładujemy plecaki i worki do samochodu.



Ogromne „róże Kilimandżaro” (*Lobelia deckenii*).

Na wędrowkę wyruszamy z grupą 10 Tanzańczyków, którzy pełnią wiele ważnych funkcji: przewodników, tragarzy i kucharzy. Do miejscowości Marangu jedziemy kilkadziesiąt kilometrów, m.in. przez miasto Moshi. Po drodze wymieniamy dolary na szylingi tanzańskie oraz robimy drobne zakupy. Jesteśmy u bram Parku Narodowego Kilimandżaro – Marangu Gate of Kilimanjaro National Park (wys. 1970 m n.p.m.). Przed wejściem do parku zakładujemy rejestrację - ponieważ obowiązuje limit osób mogących przebywać na terenie parku, jemy lunch i ruszamy do pierwszego obozowiska - Mandara Hut, bazy położonej na wysokości ok. 2700 m. Cała droga prowadzi przez gęsty, wiecznie zielony las (*rain forest*). Atrakcją w lasach deszczowych w przedziale wysokości 1700-2700 m są osobliwe czarno-białe małpy - gerezy abisyńskie (*Colobus guereza*). Jako dość doświadczony fotograf muszę stwierdzić, że robienie zdjęć w gęstej, tropikalnej dżungli jest trochę

utrudnione. Oprócz kłopotów ze światłem dochodzi jeszcze trudność „wycięcia” planu. Dodatkowym problemem jest dla mnie brak czasu. Nie wiem jeszcze dlaczego, ale odnoszę wrażenie, że idziemy bardzo szybko. W konsekwencji forsowny marsz zaj-

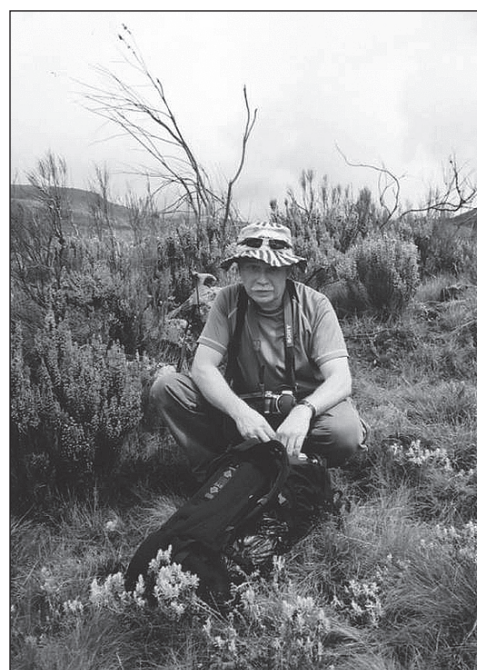
muje nam tylko ok. trzech zamiast czterech-pięciu godzin. Ponieważ wyprzedziliśmy tragarzy, czekamy na kolację i jeszcze przed zachodem słońca możemy podziwiać tęczę, gdyż zaczął padać słaby deszcz. Zostajemy zakwaterowani w dwupokojowych drewnianych domkach, po trzy osoby w każdym pokoju. Po kolacji kładziemy się szybko spać, ponieważ jesteśmy rozgrzani, ale i trochę zmęczeni wędrowką. Pokonaliśmy ok. 12 km, przy różnicy wysokości 1000 metrów.

i wspaniałe widoki. Do wysokości ok. 2900 m występuje jeszcze wiecznie zielony las, wyżej subtropikalne zarośla i osobliwa roślinność afroalpejska: m.in. ogromne krzewiaste lobelie (*Lobelia deckenii*) – „róże Kilimandżaro”, a od wysokości ok. 3500 m kilkumetrowe olbrzymie drzewiaste starce – z zielonymi liśćmi na wierzchołku grubego pnia (*Senecio kilimanjari*). Po drodze wchodzimy na niewielki zazieleniony pasożytniczy krater Maundi. Na fotografowanie nie za bardzo starcza czasu, ponieważ tempo marszu znowu jest intensywne. Tym razem nie zamierzam jednak „odpuszczać”. Robię trochę dokładniejszą obserwację współtowarzyszy wędrowki i okazuje się, że całą grupę „ciągnie” Janka, która z natury szybko chodzi po górach i tego nie uda nam się zmienić. Leszek towarzyszy jej bez problemów, a pozostali starają się dotrzymać kroku. Ja daję z siebie wszystko. Do bazy Horombo docieramy stosunkowo wcześniej, tj. ok. godz. 13.

Ten etap wędrowki w zielonej gęstwinie kojarzy mi się z wiosną i ... z dzieciństwem. W moim przypadku spędzonym w Limanowej. W tym okresie wiele jest emocji związanych z poznawaniem świata, wiele spraw jest jeszcze nie zrozumiałych. To co jest cechą wrodzoną, przychodzi bardzo łatwo. Pokonywanie własnych barier jest zaś trudne. Skojarzenie z dżunglą jest takie jak u K. Blixen „... *bo przywilejem młodości jest prawo do cienia*”, z którego wkrótce będziemy musieli wyjść. Wyjść na otwartą przestrzeń oświetloną słońcem.

W kolejnym dniu, celem naszej wędrowki jest dotarcie do drugiej bazy – Horombo Hut, położonej na wysokości 3720 m. „Pobudka” o godzinie siódmej. Na progu domku czeka miska z gorącą wodą, więc nie należy ociągać się ze wstawaniem. Podczas śniadania za oknem stołówki pojawia się liczna rodzina *colobusów*. Ponieważ tym razem wyruszamy bezpośrednio po śniadaniu, dlatego szybko pakujemy bagaże, pokrywamy się kremem przeciwsłonecznym, zakładamy kapelusze oraz okulary, bo dzisiaj „wychodzimy” już z gęstego lasu, i w drogę. Trasa, licząca ok. 15 km, jest bardzo malownicza. Towarzyszy nam wiele egzotycznych roślin, piękne kwiaty

Autor w drodze do bazy Horombo Hut.





Mawenzi - widok z bazy Horombo Hut.

Nazwa „*Horombo Hut*” nie oddaje miejsca, ponieważ nie jest to chata, ale cała kolonia ok. 15 drewnianych domków campingowych, w tym recepcja, kuchnia i stołówka. Administracja lokalna jest bardzo skromna. Całą obsługę grupy zapewnia zespół „wielofunkcyjnych”. Kwaterujemy się znowu w dwupokojowym domku, ale pokoje są tym razem większe – sześciopersonowe. Dlatego cała nasza ekspedycja mieści się w jednym pokoju. Ja ze zmęczenia rezygnuję z „powitalnej” herbaty, kładę się do śpiwora i zasypiam. Do mnie dołączają pozostali członkowie wyprawy. Nabieramy sił i już razem udajemy się na obiad. Powyżej 4 tys. metrów ważną sprawą, jeżeli chodzi o kwestie żywienia, jest odpowiednia dieta. Należy też pić dużo wody, ponieważ odwodnienie organizmu bywa kłopotliwe i wywołuje reakcje łańcuchowe: zmiana składu elektrolitów i kłopoty z głównymi organami jako efekt m.in. wypłukania soli sodu i potasu.

Jak wiadomo, w górach pogoda zmienia się bardzo szybko. Nagle robi się zimno, mokro i mgliście. Słońce zastępuje opad deszczu, a już ok. godz. 17 mgły całkowicie znikają i poprawia się widoczność. W końcu ujrzałem cel wędrowki - pokryty lodowcem szczyt Kilimandżaro. Ponieważ w Tanzanii zmierzch praktycznie nie występuje, więc bardzo szybko, ok. godz. 18 robi

się całkiem ciemno. W oddali powoli zaczynają być widoczne światła miast i masajskich wiosek. Robi się coraz zimniej. Na niebie pojawiają się gwiazdy oraz Księżyc, bo zbliża się pełnia.

Po obiadokolacji szybka toaleta i kładziemy się spać. Nareszcie można się wyspać. Nie pamiętam już, kiedy mogłem się położyć spać o godzinie 19. Ten sen ma ogromne znaczenie aklimatyzacyjne. Jesteśmy na wysokości prawie 4 tys. metrów. Wszyscy bacznie obserwują swoje organizmy i reakcje na wzrost wysokości i spadek ciśnienia. Podczas wędrowki na Kili, ze względu na potrzebę aklimatyzacji, należy dobrze przespać co najmniej jedną noc na poziomie ok. 3 tys. metrów i następnie ze dwie na poziomie ok. 4 tys. I tak było. Zmęczenie dawało o sobie trochę znać, więc spałem dość długo i mocno. Dla mnie dwie noce spędzone w Horombo Hut były bardzo dobre. Aklimatyzację można nieco przyspieszyć i wspomóc środkiem o nazwie Diamox. Ale trzeba pamiętać, że najlepszym i jedynym skutecznym lekarstwem na kłopoty z symptomami *ostrej choroby górskiej* (OCG) jest jednak szybkie zejście na niższą wysokość i odpoczynek połączony ze snem. Wspinacze, u których występują ostre symptomy, muszą

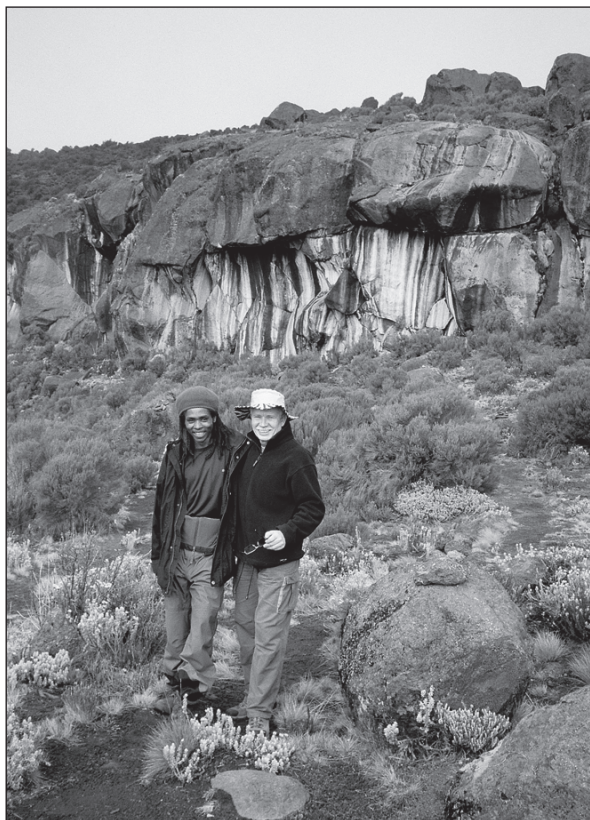
Ten bardzo interesujący etap wędrowki, to oczywiście młodość. Dla mnie to okres szkoły średniej, studia i początek pracy zawodowej. Teraz łatwiej jest stawiać sobie zadania. Praca nad sobą powinna owocować i być zadatkami na osiągnięcie przyszłych celów. Nie są one jeszcze dobrze widoczne, ale powinny zacząć się rysować w oddali, na horyzoncie. Trzeba też zmierzyć się z dorosłością w sensie odpowiedzialności za podejmowane działania lub ich brak.



Cel wyprawy - wulkan Kibo widziany rano z bazy Horombo Hut.

▶ zaprzestać wspinaczki. Zwykle zejście o kilkaset metrów i pozostanie dłużej na tym poziomie pozwala na właściwą aklimatyzację (ale często jest to trudne do zrealizowania ze względów organizacyjnych). „Dramat” w przypadku wystąpienia silnych objawów OCG polega też na tym, że nikt nie leci na Kilimandżaro po to aby sobie pochodzić po górach, ale aby wejść na szczyt. W celach zapobiegawczych lub zmniejszających nasilenie OCG przyjmujemy więc Diamox, który okazał się skuteczny.

W niedzielę, 13 listopada wstajemy już, jak zwykle, o godz. 7. Obok naszego domku płynie niewielki potok. W jego dolinie, w ocienionych miejscach widać szron. Mamy więc w Afryce przymrozek. Szybka toaleta i na śniadanie. Dzisiaj komfortowa sytuacja, ponieważ w ramach aklimatyzacji podchodzimy pod szczyt Mawenzi, a następnie schodzimy na nocleg do bazy Horombo. Wynika z tego, że nie trzeba pakować wszystkich bagaży, a tylko plecak na wspinaczkę aklimatyzacyjną. Wyruszamy o godz. 9³⁰ i od razu trafiamy na ciekawy, „księżycowy” krajobraz pochodzenia wulkanicznego. Wspinamy się pod drugi pod względem wysokości szczyt masywu Kilimandżaro – Mawenzi (wys. 5149 m n.p.m.). O ważności funkcji aklimatyzacyjnych na wysokości powyżej 4 tys. metrów świadczy fakt, że inicjatywę podczas wędrowki przejmuje Leszek i idziemy „pole, pole” (co w języku swahili znaczy - wolno, powoli). Można swobodnie podziwiać widoki, np. przy Zebra Rock (3980 m). Mimo powolnego marszu mijamy jednak kolejne, nieliczne grupy turystów. Jedną z nich jest wyjątkowa, stanowi ją tanzańska młodzież. Warto to zauważyć, ponieważ na Kilimandżaro średnia wieku turystów z innych kontynentów to ok. 40-50 lat.



Autor z Rastą, tanzańskim przewodnikiem, na tle skał Zebra Rocks.

Przypuszczam, że w uproszczeniu jest to wynikiem warunków brzegowych: dolnego – możliwości finansowych i górnego – możliwości fizycznych.



Na szlaku trekkingu aklimatyzacyjnego pod krater Mawenzi.

Przy Mawenzi Hut (4600 m) robimy postój, jemy lunch i po krótkim odpoczynku ruszamy dalej. Dochodzimy do wysokości ok. 4800 m. Aklimatyzację wysokościową wszyscy członkowie grupy znoszą dobrze. Po sześciu godzinach marszu i przejściu ok. 25 km wracamy szybkim marszem i w dobrych nastrojach do bazy na obiad. Przed bazą czekają już na nas kruki, niektóre o białych szyjach. Po „odświeżeniu się” znowu do śpiworów. Trochę zaskakuje mnie ten, popularyzowany przez Leszka, „śpiworowy” zwyczaj himalaistów, ale nie jest on zły. Specjalnych atrakcji w bazie nie ma. Jest natomiast coraz zimniej, zwłaszcza w bezczynności i po zachodzie słońca. Jesteśmy na

półmetku. Odpoczywamy więc. Na obrzeżach „życia towarzyskiego grupy” można trochę pomyśleć, można też wysłać pilne SMS-y. Rozmowy telefoniczne nie są bardzo popularne (koszt ok. 15 USD/min.).

Ten i następne etapy wędrowki to oczywiście pełnia dojrzałości. Jest czas na pracę. Jest czas na odpoczynek. Zadania są jasno wytyczone. Warto dać z siebie dużo, ale też trudno siebie przeskoczyć. I jak w życiu: raz w górę, raz w dół. Po to, by znowu próbować w górę. Jeżeli mamy dotrzeć na szczyt, trzeba zebrać wszystkie siły i iść. Po powrocie do Polski słyszę, że każdy ma swoje Kilimandżaro. I chyba tak jest, chociaż dla każdego jest on inny. Trzeba tylko starać się czerpać radość z jego zdobywania i satysfakcję z jego zdobycia, a nie tylko dostrzegać trud związany z osiągnięciem wytyczonych celów.

Kalendarium wyprawy (cz. I):

Dzień 1 – czwartek, 10 listopada 2005.

Wylot z Warszawy do Amsterdamu 6:35. Przyjazd do Tanzanii ok. 21:30. Transfer do hotelu w Arushy.

Dzień 2 – piątek, 11 listopada 2005.

Przejazd do Marangu Gate - bramy Parku Narodowego Kilimandżaro. Ok. 3-godzinny marsz przez las tropikalny do bazy Mandara Hut, położonej na wysokości 2700 m n.p.m.

Dzień 3 – sobota, 12 listopada 2005.

Godzinny marsz przez dżunglę. Dojście do wrzosowisk. Po przejściu przez wrzosowiska (około 4 godzin marszu), nocleg w bazie Horombo Hut położonej na wysokości 3720 m n.p.m.

Dzień 4 – niedziela, 13 listopada 2005.

Dzień aklimatyzacyjny. Wyjście pod krater Mawenzi i powrót do Horombo.

Andrzej Kulig
Fotografie ze zbiorów autora
c.d.n.

Opis fotografii:

Strona 1

Pięciu uczestników wyprawy i trzech tanzańskich przewodników pod tablicą z napisem: „Gratulacje. Jesteś na Uhuru Peak, Tanzania, 5895 m n.p.m., w najwyższym punkcie Afryki, na najwyższej na świecie wolnostojącej górze; na szczycie jednego z największych na świecie wulkanów. Witamy.” (Autor - pierwszy z prawej trzyma w ręku proporzyczkę Limanowej przekazany przez Redakcję „Echa Limanowskiego”).

Strona 2 (numeracja od strony lewej w pionie)

Fot. 1 - Wulkan Kibo widziany rano z bazy Horombo Hut.

Fot. 2 - Powrót z trekkingu aklimatyzacyjnego pod krater Mawenzi.

Fot. 3 - Wulkan Mawenzi w świetle zachodzącego słońca - widok z Kibo Hut.

Fot. 4 - Lodowiec na szczycie Kilimandżaro.

Fot. 5 - Olbrzymie drzewiaste starce (Senecio kilimanjari).

Fot. 6 - W drodze przez tropikalną afrykańską dżunglę.

Fot. 7 - Na szczycie Uhuru Peak - autor z Jurkiem na tle lodowca południowego.

¹ H. Sienkiewicz: *W pustyni i w puszczy*. Wydawnictwo Siedmioróg. Wrocław 2002 r.

² E. Hemingway: *Opowiadania*, w tym: „*Śniegi Kilimandżaro*” (The snows of Kilimanjaro). Prószyński i S-ka. Warszawa 1993 r.

³ K. Blixen: *Pożegnanie z Afryką. (Out of Africa)*. Przełożył J. Giebułtowicz. Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza SA. Warszawa 2005 r.